

Syndrom chińsko-atlantycki

4 października 2014

Po wyborze premiera Donalda Tuska na przewodniczącego Rady Europejskiej pojawiły się głosy mówiące, że wyjazd lidera Platformy Obywatelskiej do Brukseli nie będzie żadną rejteradą z z lokalnego pola bitwy, które coraz bardziej usuwa się mu spod nóg, ale sposobnością do odzyskania pozycji i odbudowy zaufania własnego elektoratu. Zmęczeni i zrezygnowani wyborcy PO podbudowani europejską nominacją i towarzyszącym jej międzynarodowym uznaniem dla Tuska mieliby na powrót uwierzyć w siłę, skuteczność, sprawczość i sukces jego ekipy. Takie rozumowanie jest błędne bo ignoruje zaściankowy charakter polskiej sceny publicznej, na której tzw. światowe sukcesy nie mają większego znaczenia. Dlatego wbrew nadziejom, że przeprowadzka do Brukseli zrewitalizuje wizerunek Tuska, nie będzie ona miała wpływu na poprawę pozycji PO w rywalizacji dwóch największych partii prawicowych w Polsce. Polska klasa polityczna, także za sprawą „proeuropejskiej” polityki (czy raczej postpolityki) uprawianej przez obecny rząd, kompletnie nie interesuje się projektem unijnym, którego przyszłość właśnie się waży. Wspólną Europę traktuje się w Polsce co najwyżej jako dojną krowę, pole dla załatwiania partykularnych interesów (wyraża się to w pytaniach w stylu „co Tusk załatwi dla Polski?”) lub miejsce na polityczną emeryturę. Pytania o to jaka ma być Unia zbywa się zwykle wzruszeniem ramion, tak jakby to nie była nasza sprawa. Dlatego zapewne znacznie większe emocje budzi u nas NATO i tzw. opcja atlantycka czyli marzenie o wyjątkowych, strategicznych stosunkach z z Waszyngtonem na modłę tych, które od dekad zapewniają wsparcie finansowe i bezkarność Izraelowi, a które w oczywisty sposób kolidują z z wizją samodzielnej polityki zagranicznej UE. Od dawna, przy różnych okazjach przekonujemy się, że w oczach głównych uczestników polskiego życia publicznego geopolityka jako dziedzina potęgi państwowej dzierży prymat nad polityką jako dziedziną samostanowienia ludu. Trudno nie uznać tego

stanu rzeczy za symptom znaczący i bardzo niepokojący zarazem.

Tymczasem ani żałosne skomlenie o bazy NATO w Polsce, ani nadymanie wojennego balona napełnionego mieszaniną strachu i pogardy wobec Rosji nie zmieniają faktu, że prawdziwym zagrożeniem dla Europy są europejskie elity i unijne instytucje przez nie kontrolowane.

Im większa i powszechniejsza jest kontestacja neoliberalnej konstrukcji europejskiej wśród obywateli państw UE, wyrażona ostatnio w niskiej frekwencji podczas wyborów do unijnego parlamentu, tym jaśniej widać, że deficyt demokracji w Europie stanowi prawdziwą bombę z opóźnionym zapłonem umieszczoną w samym jej sercu. Co gorsza, zarządzanie trwającym już 7. rok kryzysem nie przyniosło żadnych pozytywnych efektów poza tymi, które odczuli odpowiedzialni za jego wywołanie. Stagnacja gospodarcza, wysokie bezrobocie, zdławienie inwestycji, destabilizacja stosunków pracy i pauperyzacja coraz większych rzesz pracowników to jak dotąd jedyne wymierne efekty polityk zaciskania pasa narzucanych społeczeństwu najbardziej dotkniętym gospodarczą zapaścią. Efekty, dodajmy, oczywiste, bo przecież to te same polityki, tyle że rozłożone w czasie i mniej brutalne, doprowadziły do kryzysu. Realizowano je w poszczególnych krajach już od lat 80., a w ramach projektu europejskiego od czasu traktatu z Maastricht z 1992 r. r.

Kryzys stał się pretekstem do demontażu nielicznych elementów demokratycznej kontroli wbudowanych dotychczas w konstrukcję unijną. Rujnujący Grecję i Portugalię dyktat Trojki okazać się może problemem znacznie mniejszym niż systemowe rozwiązania w rodzaju Europejskiego Mechanizmu Stabilizacyjnego, w ramach którego w imię skuteczności finansowej de facto odbiera się państwom strefy euro możliwość prowadzenia polityki gospodarczej uwzględniającej potrzeby obywateli. Europejski kapitalizm korzystając z posiadanych przez siebie możliwości wpływu w postaci gigantycznego lobbingu niezrównoważonego mechanizmami kontroli społecznej, bez specjalnych ogródek bierze rozbrat z demokracją uznając ją za zawałidrogę w

realizacji wymogów nieograniczonej akumulacji. Tendencja ta uzyskuje dziś potężne wzmocnienie w postaci planów Transatlantyckiego Porozumienia w dziedzinie Handlu i Inwestycji (TTIP).

Negocjowane w tajemnicy przed obywatelami, ale z z licznym udziałem przedstawicieli biznesu Porozumienie może położyć podstawy pod nowy ustrój, przekształcając w system to, co dotąd było jedynie dominującą polityką. Jego istotą ma być anulowanie zdobyczy społecznych, takich jak prawa pracownicze, usługi publiczne, zabezpieczenia socjalne, wymogi ekologiczne w imię zwiększenia dynamiki nie tyle wzrostu gospodarczego, co generowania zysków. Tworząc geopolityczną przeciwwagę dla gospodarek wschodzących, w tym szczególnie Chin, TTIP zarazem otwiera pole dla naśladowania tych ostatnich w sferze praktyk gospodarczych i reżimu stosunków pracy. Euroamerykański biznes już do dawna wzdycha do swobód jakimi cieszy się jego chiński odpowiednik. Wobec niepowodzeń prób rozruszania gospodarki coraz większego znaczenia nabiera dlań możliwość zwiększania wyzysku i skutecznego obezwładniania siły roboczej, a zatem to w czym kapitalizm made in China jest najlepszy. Jeżeli obywatele Europy nie będą przeszkadzać w negocjacjach TTIP, model chiński ma szansę stać się europejską i północnoamerykańską rzeczywistością.

Autor: Przemysław Wielgosz

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)